NAUKA I ROZRYWKA

Dodatek bezpłatny do „Dziennika Bydgoskiego.“ Wychodzi co 2 tygodnie.

Nr. 3. | Bydgoszcz, niedziela 31 stycznia 1909. | Rok II.

Zwyczaje weselne na Litwie i w okolicy Grodna.

W parę tygodni po zaręczynach następuje chwila uroczysta dla narzeczonych: chwila ślubu i wesela.

W każdym zakątku wiejskim, gdzie wrzawa spraw handlowych i gorączka pracy fabrycznej nie mącą cichego życia rólnika, wesele jest wypadkiem nadzwyczajnym dla całej wsi. I nie dziw, bo z tym momentem łączy się sprawa narodowa, społeczna i nawet polityczna...

To też wiadomość o godach, do wioski zmarłej, smutnej, odrazu wprowadza życie, rozpromienia twarze ponurych chłopców, rozjaśnia miłem wspomnieniem długie wieczory jesienne i zimowe, a dziewoje i niewiasty mają pole do popisu.

Obchód weselny u obojga państwa młodych rozpoczyna się od wieczoru dziewiczego, który tu u nas nosi nazwę: „kaczki“.

Po zachodzie słońca wysuwa się dziatwa ze wszystkich zakątków i z krzykiem, wrzaskiem na podobieństwo zlatujących się wron, podąża w kierunku chaty panny młodej, lub pana młodego. Zgromadziwszy się na podwórku, z niecierpliwością oczekują ukazania się światła w izbie; skoro ono błyśnie w oknach, dziatwa wpada do mieszkania i prawem silniejszego zdobywają sobie miejsca przy kominku.

„Kaczki“ są właściwie świętem starych i dzieci. To też za stołem, na którym ustawione są dzbanki z piwem i naczynia ze skromną przekąską, sadowią się rozmaite babki, stare ciotki, wymowne kumoszki, dalej idą stryjaszkowie, wujaszkowie i inni w tym rodzaju goście. U progu zaś tłoczy się dziatwa, oczekująca uczty.

Tymczasem z pieca chlebowego buchają płomienie. Sędziwa kobieta, która na tym wieczorku rej wodzi, rozdaje po kawałku ciasta surowego małym łobuzom, a ci stojąc przed piecem, urabiają małe bułeczki, nadając im formę kaczki, ztąd też i wieczór otrzymał nazwę „kaczki“.

Gdy dzieci są zajęte wypiekaniem kaczek i walczą zawzięcie o prawo własności, gospodyni wieczoru ulepia bochenek chleba razowego, ubiera go ciastem białem, również nadając formę kaczki, potem przy pomocy łopaty, śpiewając, sadzi bochenek do pieca i to się nazywa pieczenie „korowaju“.

Ostatnia ceremonia polega na tem, że gospodyni balu, wymachując łopatą zwilżoną wodą i ciastem, bije nią po głowach gości. Tu się dostaje szczególnie amatorom kaczek, jedyny sposób pozbycia się natrętnych biesiadników i zakończenia tak zwanych kaczek.

Nazajutrz zbierają się goście do panny młodej i pana młodego, wyłącznie proszeni do asysty. Zatem orszak pana młodego składa się ze swata, drużbów kilku, któremi są kawalerowie, i kilku swaszek, któremi muszą być mężatki, przytem każda z nich ma obowiązek przybyć ze sporym zapasem wypieczonego ciasta i miesa.

Orszak panny młodej zwykle bywa daleko liczniejszy; tu wchodzi kilka lub kilkanaście druhen dziewcząt i kilkanaście swatów kawalerów.

Narzeczony ze swą drużyną rankiem udaje się do swej niebogiej, gdzie go witają uroczyście. Goście przybyli wchodzą do izby i składają na stole przywieziony ze sobą chleb-korowaj.

Z komory wychodzi oblubienica w stroju uroczystym, o twarzy nietyle smutnej, ile skupionej, poważnej i siada za stołem obok swego oblubieńca, z którym ani się wita, ani rozmawia. W komnacie zapanowuje cisza, jakaś dziwna, zarazem rzewna i słodka, i staje się jeszcze bardziej rzewną, gdy nad głową dziewczęcia zawisną ręce staruszków, rodziców, popłyną słowa błogosławieństwa, a z oczu dziewczęcia spłyną łzy bujne a ciche.

W tak podniosłym nastroju, przy dźwiękach wiejskiego grajka, wyrusza pochód weselny do kościoła. A więc na przedzie jedzie pan młody w towarzystwie swata, zanim panna młoda ze starszą druhną, a potem długi łańcuch furmanek, przybranych kwieciem, z resztą gości.

Wracając z kościoła, pan jedzie już z panną młodą, których na progu chaty witają rodzice z chlebem i solą.

Po krótkim wypoczynku cała drużyna weselna wychodzi z domu właściwego do sąsiada, który ma obszerną izbę i tam się lokują na cały pierwszy dzień obchodu weselnego. Tu więc swacie pana młodego wykładają na stoły zapasy żywności, a więc chleb razowy, ciasto, mięso pieczone i sery, zaś swatowie młodej dostawają trunków: wódkę, piwo, a nie-

kiedy i miód. Pierwszy dzień wesela odbywa się wyłącznie na koszt kawalerów i mężatek, biorących udział w samem weselu. To też pierwszego dnia nikt z sąsiadów ani krewnych nie wstępuje do tego domu z wyjątkiem młodzieży, która przyjdzie wieczorem potańczyć i to się trzyma na uboczu i do gościny pretensyi niema, bo jest ona własnością nie gospodarza, lecz gości weselnych.

Drugiego dnia podejmuje gości już sam gospodarz ojciec panny młodej we własnym domu. I to dopiero rozpoczyna się wesele prawdziwe. Na stołach leżą stosy mięsa pieczonego, bułek domowych, półmiski z serami a dzbanki z piwem. Teraz otwiera gospodarz drzwi i serca dla swoich sąsiadek, sąsiadów licznych krewnych i przyjaciół. Tu dopiero ma pole do popisu prawdziwa szczerość, serdeczność i gościnność. Tu dopiero gospodarz staje się gościnnym prawdziwie po staropolsku, bo gotów wszystkich zapoić, zakarmić i to wszystkich bez wyjątku, a więc — nawet podróżnego, żydka dziada, największego wroga, któremu w tej chwili wszystko przebacza i którego całuje. W tym też dniu grajki winszują wszystkim gościom, grając marsza każdemu z osobna, co się nazywa: „na dzień dobry".

Wieczorem tegoż dnia ma miejsce dosyć ciekawa ceremonia, która się nazywa „darzeniem".

Oboje państwo młodzi siadają za stołem, mając przed sobą duży półmisek, na której rodzice młodej kładą przy słowach błogosławieństwa w darze pieniądze na nową gospodarkę. Za przykładem rodziców mają obowiązek darzyć wszyscy krewni, znajomi, słowem wszyscy goście państwa młodych. W tym celu najwymowniejszy swat uderza wałkiem o belkę sufitu, bez ceremonii przypominając obowiązek darzenia. Jeżeli ktoś z gospodarzy chce się okazać hojnym i obdarzyć pannę młodą żywym inwentarzem, wówczas składa przed nią szczotkę do ubrania na znak, iż w przyszłości przyśle świnkę, zaś znakiem owcy jest czapka barania, którą również kładzie się przed młodą parę.

Kiedy nareszcie uderzenie wałka i krzyk pana swata staje się bezcelowym, wówczas gospodarze raczą swych gości wieczerzą, która się składa z kapusty, mięsa i makaronu z mlekiem, i na tem się kończy drugi dzień godów.

Dzień trzeci rozpoczyna się od śniadania, na które podają niekiedy grzane piwo, w rzadkim wypadku herbatę, przeważnie zaś zimne mięso, ogrzane dość często wódką i piwem.

Czas jednak nagli, więc po krótkim posiłku przybiera się panna młoda w suknię ślubną i welon, by być gotową do wylotu z gniazdka rodzinnego. I oto za chwilę ma wszystko pożegnać, wszystko porzucić na zawsze. Prócz wioski rodzinnej, prócz miasteczka, dokąd chodziła każdej niedzieli do kościoła, dla biednej dziewczyny świat inny nie jest znany, więc tem bardziej pokochała ona to ustronie zaciszne, z niem się zżyła i zrosła. Całe otoczenie wydaje jej się drogiem i smutnem: drzewka w ogródku, z któremi równo rosła, i krzaki, zkąd kwiaty zbierała na ołtarz Matki Boskiej, zdają się razem smucić i płakać; i ten konik wydaje się jej smutnym, którego karmiła, i baranek, którego pieściła, i każdy kącik byłaby gotową całować, uściskać. Natomiast wybrany zdaje się być dla niej człowiekiem zimnym, niedbałym, sprawca jej smutku i bólu. Zaledwie może kilka tygodni, jak go poznała, i on ma być dla niej wszystkiem. Zabiera biedną do obcego domu, do ludzi, których pierwszy raz zobaczy, wśród których będzie obcą, a on ten człowiek nieraz obojętny, czy potrafi stanąć w obronie nieśmiałej, nieświadczonej, biednej istoty. Czy będzie zdolnym słodyczą i pieszczotami gorzkie chwile osłodzić. Więc rozważa i płacze nieboga, rzuca się w objęcia matki, i płacz jej udziela się wszystkim. Trzy dni wesela i gwaru minęły jak jedna godzina, i każdy musi powrócić do codziennej pracy. Tymczasem pan mąż porywa bogdankę, i nie zważając na płacz jej i lament matki, przy smutnych dźwiękach grajka w nielicznem towarzystwie umyka i ginie z oczu.

Smutek matki bardziej się zwiększa, bo oto swatowie panny młodej, czyniąc posługę swej towarzyszce, wynoszą z domu jej dorobek czyli tak zwaną wyprawę, ulokowaną w ogromnym kufrze, i tę ostatnią pamiątkę po ukochanem dziecku zabierają i wiozą do domu męża.

Nastaje wieczór; matka sama, w chacie smutno i głucho; zapanowała jakaś grobowa cisza, przerywana czasami wyciem wiatru w kominie i łoskotem okienicy. I cała wioska jakby się układając do nocnego spoczynku powraca do dawnego spokoju, staje się znowu głuchą, ponurą, smutną.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kozieł i wilk.

Raz basior napotkawszy kozła, rzekł mu: „Bracie,
Litość mnie szczera bierze, kiedy patrzę na cię.
Chciałbym cię wspomódz, wzmocnić, zwilczyć jednem słowem:
Sierść masz lichą, wytartą, a jak futrem płowym
I puszystym porośniesz, będzieć ciepło w zimie,
Spokojnie i bezpiecznie, — już ci się nie imie
Lada kurta do łydek, bo wilczy ród znany!
Dla nas przecie Bóg stworzył kozły i barany:
Mamy prawo zjeść wszystko, co jest do zjedzenia,
Lub mówiąc krócej — siłę. Więc gdy do plemienia
Naszego będziesz liczon — twój będzie świat cały!"

Na to kozieł odrzecze: „Zaszczyt to nie mały.
Lecz nie widzę sposobu. Kozłem mnie stworzono,
Kozłem był dziad mój, ojciec, — koźlem mlekiem łono
Matki mnie wykarmiło, — jakaż na to rada?"

— „Znajdziem sposób — wilk rzecze: — więc naprzód wypada,
Bym cię zaasymilował, to znaczy zadławił,
Następnie schrustał, połknął, a w ostatku strawił;
Wówczas wsiąkniesz w krew moją zmienisz się w me kości
I w mych dzieciach do późnej przejdziesz potomności".

A na to znowu kozieł: „Uważ, panie drogi,
Że Pan Bóg dał mi na łbie strasznie twarde rogi,
Więc nim mnie strawić zdołasz, to przedtą odmianą
Sam się nimi zadławisz, gdy ci w gardle staną".

Henryk Sienkiewicz.

Drukiem i nakładem Jana Teski w Bydgoszczy. Redaktor odpowiedzialny Bogusław Domiński w Bydgoszczy.